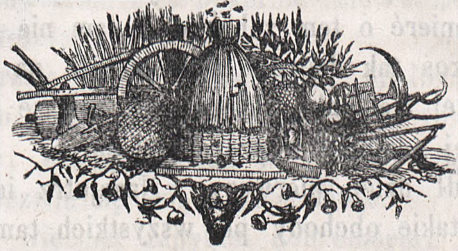
Tom I. Nr. 8.

11. Września 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kalwarja Zebrzydowska.

Wróciwszy co jeno z tego św. miejsca, gdzie dużo pięknych i pożytecznych rzeczy widzieć i usłyszeć można, wzięła mnie szczera chęć, o nich teżta mało wiele opowiedzieć. Bo choć i prawda że to nasza, ta św. kalwarja Zebrzydowska, przecie są tacy, mieszkający daleko ztąd gdzieś na drugim końcu Galicyi, którzy zgoła nic, albo mało co o niej wiedzą; ba, sąć ta i bliscy, co znowu tacy leniwi i nieciekawi, że o bliskich, a ślicznych, a drogich bo swojskich pamiątkach dowiedzieć się wszystkiego jak się patrzy nie chcą i nie lubią.

Więc i dla jednych i dla drugich rzeknę ja słówko o tej św. kalwarji, co leży nieopodal starego Krakowa — a to *leniwcom* na zachętę, a znowu *nieświadomym* gwoli miłej wiadomości.

Otóż tak: Przybyłam ja do św. kalwarji dnia 13. sierpnia, to jest w sobotę. Za dwa dni wypadało wielkie święto Wniebowstąpienia Maryi Panny. Tymczasem dzisiaj zwyczajem tamtejszym odbywał się pogrzeb Najświętszej Panienki. Leży ona w ślicznej trumience, którą dwanaście dziewic wystrojonych żałobnie dźwiga na ramionach, a znowo dwunastu kawalerów

także w żałobie idą wedle trumny ze świecami, a co kaplica to spoczną, i ksiądz kazanie prawi, a potem muzyka przegrywa i strzelają, a ludek się modli. — I ktoby wtedy miał co niemiłego na myśli, na śmierć o tem zabaczy, i sam nie będzie wiedział, zkąd mu się jakoś tak dziwnie rado zrobiło na duszy, a to od cudu Najświętszej Panienki, która nas zawsze pociesza, skoro się tylko do niej udajemy w szczerości serca.

Tak zeszedł dzień pierwszy. Nazajutrz idą ludkowie na dróżki, t. j. takie obchody po wszystkich tam kaplicach, co wszystko bez mała więcej jak milę uczyni, a co się obchodzi na pamiątkę, jako pan Jezus w swej okrutnej męce taką samą daleką drogę, jeno z krzyżem jeszcze na domiar obchodzić musiał. Idę więc i ja, a wszystko się cieszę tą pobożnością naszych, ba i obcych — bo tu rozmaitego narodu zewsząd bywa co nie miara. Gdyby jeszcze nie jeden zły obyczaj, co jest między wami ludkowie, byłoby już zgoła przyzwoicie i dobrze. Rzecz to mała, ale nieładna, nadewszystko zaś iż może być szkodliwa, a to jest ta, że ten nasz dobry ludek, zwłaszcza też górski, z tej swojej prostoty to się tak ciśnie jeden na drugiego, że pożal się Boże dostać się tu między nich, ba nawet choćby i patrzeć na to z daleka. A przez to cóż się dzieje? oto niedosyć że w takim ścisku nie ma żadnej chwały, owszem obraza Boska, ale jeszcze często gęsto nie trudno prawie o straszną zbrodnię. Bo i gdyby też na ten przykład kogo udusili? jak się to tam może już i nie raz stało — no i moi kochani! mielibyśmy też na tedy odpust od pana Jezusa, jakby taka dusza stanęła tam przed sądem przeciw nas? A potem jak to widzą inni krajowcy, oto się dopiero z nas naśmiewają! bo gdzieindziej to ludzie przy takich okazjach idą sobie ślicznie, pięknie, parami, a wszędy zajdą, i dobrze się pomodlą, i wszystko uwidzą, choć się ta nie gniotą, nie duszą, i nie ma obrazy pana Boga.

Więc patrzę ja i z bolem serca widzę, jak aże żandarmy bronią ludzi od ścisku, bo ani daj Boże dobrem słowem nakłonić ich było do porządku. Tymczasem na drugiej stronie, na niewielkim pagórzu stał ksiądz, a dokoła mała garstka ludzi. Idę więc do nich; wtem jakiś zda mi się gospodarz od Wisły, podchodzi bliżej do księdza, i skłoniwszy mu się przystojnie do

kolan, daje na mszę św., aby mu też Bóg pobłogosławił na jego rodzinie i jego całym dobytku. Dobrodziej przyjął ofiarę, wieśniak zaś powtórnie ujął pokornie księdza za kolana, i rzeknie w nieśmiałości:

— Bez urazy, ojcze dobrodzieju! miałby ja też jeszcze jedną prośbę do niego, jeno nie wiem czyby to było na czasie?

— Proszę, co będę mógł to zrobię, więc gadajcie jeno otwarcie — odezwie się ksiądz dobrotliwie.

— A no, więc ja zapytam dobrodzieja, jako że jestem strasznie tego ciekawy: kto też to tę św. kalwarję założył? bo jużcić dobrodziej o tem doskonale wiedzieć musi, jako znający się na piśmie i tutaj zamieszkały. Ale ja przepraszam jeszcze raz ojca dobrodzieja! może się wyrwałem w nie swój czas z taką prośbą.

— Owszem — powie ksiądz — nie macie za co przepraszać z ciekawości waszej, miły gospodarzu, rad jestem i chętnie was zaspokoję w tej mierze.

Wtedy oprócz onego gospodarza z nad Wisły i myśmy reszta zbliżyli się do księdza, również ciekawi tej opowieści.

— Będzie lat temu dwieście pięćdziesiąt i coś — opowiadał ksiądz — kiedy na tej tam okrągło szpiczastej górze, co to ją ot zaraz naprzeciw nas widać, gdzie jeszcze sterczą ruiny zamczyska, na tej tam Lanckoronie, mieszkała rodzina bogatych a bogobojnych panów, co się zwali Zebrzydowscy. Owóż tam przed tylu i tylu laty, pewnego dnia wieczorem siedzieli sobie oboje państwo, to jest pan z panią w oknie pysznego zamku i patrzyli przed siebie, więc prosto na tę górę, na której my teraz stoimy. Wtedy była ona jeszcze wielkim lasem zarosła i zwała się Zar. A jak oni się tak patrzą i patrzą, naraz dziw, co się stało! śliczny błyszczący krzyż pokazuje się im nad oną górą. O! i strach ich wziął z razu, ale że byli rzetelni w miłości i służbie Boga, to się wnet upamiętali i jęli rozmyślać, coby to znaczyło? jakoż tejże samej nocy oboje mieli sen, z którego dowiedzieli się: iż wolą wszechmocnego Boga jest, aby na onem miejscu, gdzie krzyż jasny ujrzeli, była założona św. kalwarja na podobieństwo tamtej prawdziwej kalwaryi, kędy pan Jezus cierpiał. I tak się też stało; państwo

Zebrzydowscy wysłali zaraz niejakiego pana Hieronima Strzałę do dalekiego kraju Azyi i do Jerozolimy miasta, aby się tam na miejscu, gdzie Chrystus pan wycierpiał śmierć krzyżową, przekonał i zapamiętał sobie doskonale, co tam jest i jak to wszystko wygląda. I był tam Hieronim Strzała, rozumny człek, opatrzył wszystko jak się należy, i przekonał się nad podziw, że nasza góra pod Lanckoroną takuteńka sama, jak św. kalwarja Jerozolimska. Tedy uradowany mocno, iż tak się to pięknie składa jedno do drugiego, zdjął pilno rysunek z tego wszystkiego, co tam widział, i z tem powrócił szczęśliwie do domu. A skoro wrócił i pokazał państwu rysunek, ci nie zwlekając, powołali majstrów doskonałych i jęli się do budowli. Naprzód stanęła kaplica ukrzyżowania, którą w obecności wielebnego biskupa krakowskiego Maciejowskiego, i wielu panów poświęcił uroczyście ksiądz poseł Ojca św. z Rzymu, mieszkający natenczas w Polsce Klaudiusz Rangon.

W trzy lata potem kosztem tego samego dziedzica z Lanckorony założono fundamenta na kościół pod imieniem Panny Maryi Anielskiej, a zarazem i na klasztor naszych OO. Bernadynów. Oznaczone też zostały drogi Jerozolimskie, według pomiaru uczynionego na miejscu przez onego, jak go wam nazwałem, Hieronima Strzały. I tak dalej szło, a co roku na tych tu wszystkich pagórkach przybywało coraz to więcej kaplic i kościołów, aż ich się razem zebrało na 45. Wprawdzie nie wszystkie one stanęły jeszcze za życia tego pana z Lanckorony, ale zawsze pierwszym i głównym fundatorem był on bogobojny Mikołaj Zebrzydowski, za co też mu niech pan Bóg w niebiesiech nagrodzi!...

Otóż, miły gospodarzu, będziecie sobie już teraz pamiętać, kto wyfundował naszą św. kalwarję?

— O będę, będę! odrzekł chłopek nadwiślański; a wam ojcze dobrodzieju, Bóg zapłać, żeście sobie tej chwili nie ważyli i nam taką piękną rzecz opowiedzieli. Ale bez urazy, mój ojcze wielebny! zkąd to się też po tamte czasy tacy panowie zamożni, tacy bogacze brali, że takie straszliwe fundacje mogli robić? a wszakby to teraz na taką fundację, gdyby na to mó-

wiąc i z połowy kraju panowie się złożyli, nie wiem czyby temu dali radę, co zaś na tedy jeden potrafił.

— Dużoby o tem gadać, mój człeku, odpowiedział na to sługa Boży — i z resztą nie pora po temu. Na teraz dosyć ci będzie wiedzieć: jako niezbadane są wyroki przedwiecznego Pana! — dał ci on nam niegdyś bogactwo, dopuścił też teraz na nas i ubóstwo — dziej się jego wola święta! nam jeno modlić się w szczerości serca i Boga prosić o lepsze.

Tu ojciec duchowny przyklęknął nabożnie, i począł w głos odmawiać modlitwę pańską: „Ojcze nasz który jesteś w niebie“ Za nim i my reszta uczyniliśmy to samo.

Po modlitwie dobrodziej nas jeszcze pobłogosławił i rozeszliśmy się już wszyscy pocieszeni na sercu, każdy w swoją stronę. Ja zaś wróciwszy szczęśliwie z odpustu do domu, jakem sobie to wszystko zapamiętała, tak wam też w szczerości opowiedziałam — jednym na zachętę, drugim gwoli miłej wiadomości.

Ludka z Myślenic.

WYBÓR.

I.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Weź moja córko, górala, będziesz z nim szczęśliwa.
— Nie chcę ja, matko, górala, nie chcę jako żywa!
Góral w górach nadto śmiały,
Łatwo skręci kark ze skały.

II.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Weź, moja córko, pasterza, będziesz z nim szczęśliwa.
— Nie chcę ja, matko, pasterza, nie chcę jako żywa!
Bo pasterze w lasach siedzą,
Tam ich łatwo wilcy zjedzą.

III.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Córko moja, idź za kupca, będziesz z nim szczęśliwa.
— Nie chcę, matko, iść za kupca, nie chcę jako żywa!
Bo gdy kupiec dom porzuci,
Bawi długo lub nie wróci.

IV.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Córko moja, weź rolnika, będziesz z nim szczęśliwa.
— Matko, matko! chcę rolnika, chcę go jako żywa!
Bo choć rolnik ogorzały,
Ale za to chleb ma biały.

K. B.

Jak zezowaty Mosiek wyszedł na spółce z Walkiem Kuternogą.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Nie małoć wprawdzie na świecie ludzi wesołych i żartobliwych, alić drugiego takiego figlarza, psotnika i szałowiłę, jakim był Walek Kuternoga z Ućciołubia, to już jak to mówią chyba szukać ze świecą.

Dość było tylko spojrzeć na niego, na jego twarz i postawę całą, ani ztąd ni z owąd mimo chęci i woli na śmiech się zbierało.

Bo też po prawdzie dziwnie pocieszne było to stworzenie. Niziutki, pękaty, na krótkich nogach, miał głowę wielką a okrągłą jak arbuz, oczy wybałuszone na wierzch jak cebule a nosek maluczki zadarty w górę a podobny kubek w kubek do bąbla na łodydze kartofli. Włosy miał kędzierzawe jak wełna na niestrzeżonym baranie, a rzadkie i białe zęby nawet we śnie ciekawie wyglądały mu na świat.

Pocieszny i zabawny byłci już z swojej postawy, ale

niechli no zaczął przypowiadać, gawędzić, bajdurzyć a przyśpiewywać, to już przepadłeś z kretesem i choćby cię jak mrowie obsiadły frasunki a na sercu było ciężko jak nieprzymierzając żydowi w kieszeni, musiałeś się chcąc nie chcąc za brzuch trzymać od śmiechu.

Niecnota co gębę roztworzył, to jakiś zart wypalił, co krok zrobił, to jakiegoś figla spłatał, a nawet jak się spać położył, to tak jakoś uciesznie przegrywał swym nosem, że w kąt organista z swemi dudami. I gdzie się pokazał to już śmiechy, chichoty, żarty i figlasy, że aż się głowa zawracała.

W karczmie nie było hulanki i zabawy bez Walka, na weselach, chrzcinach, kiermaszach popłakaliby się wszyscy bez Walka, a na tłokach i obżynkach prędzej obeszłoby się bez wódki i muzyki niż bez Walka Kuternogi.

Z tem wszystkiem trzeba wiedzieć, że nigdy nie zapominał o uczciwości i przyzwoitości, i z jego figlów i żartów nie było nigdy jak to przyznawali starsi ani uszom obraza, ani oczom zgorszenie.

Nie z jednego, co spłatał swem życiu, śmieją się ludzie po dzień dzisiejszy, ale jużto pono najdłużej zostanie w pamięci, jak w pewnej spółce wystrychnął na dudka Uściułubskiego arendarza Moszką Bigelberga, co go nazywali zezowatym, bo zawsze prawem okiem patrzył do lewej, a lewem do prawej kieszeni.

Było to już w późnej jesieni, a jeszcze za czasów pańszczyzny.

Walek Kuternoga miał młócić na pańskiem gumnie, tóż jeszcze przed świtem wybrał się z chaty, a jakby go coś natchnęło, obrał sobie drogę na folwark wedle stawu, co ciągnął się daleko i szeroko między wsią a dworem.

A staw to był nie lada, od pięciu lat nie spuszczany, miał ryb co niemiara, a wodę czystą i przejrzystą jak w źródlanej krynicy.

Walek pospiewując przez zęby idzie ścieżką koło brzegów, i przypatruje się z góry jak ryby igrają i pluskają spodem.

Aż też nagle przystanął jakby przykuty do ziemi, bo dziwne przed sobą ujrzał widowisko.

Ogromny szczupak, prawie na pół sążnia długi zwolna i

poważnie wypłynął do samego brzegu, i jakgdyby się chciał zagrzać do promieni wschodzącego słońca, wyciągnął się cały, i goły grzbiet wychylił na wierzch, a ogonem pluska w prawo i w lewo, jakby innym rybom bronił do siebie przystępu.

A w tej chwili nagle, niespodziewanie, chyłkiem, milczkiem wymyka się młody lis z za szuwaru, gdzie zapewne nastawił się na kaczki, i jednym susem poskoczył ku szczupakowi.

Szczupak nie miał czasu uciekać, otworzył tylko najeżoną ostremi zębami paszcz, i capnął za mordę lisa w tej samej chwili, kiedy lis chwycił jego za górną szczekę.

Stało się też jak w owej przypowieści: Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma. Lis chwycił za górną szczekę szczupaka, a szczupak dolną szczekę lisa trzymał w swych zębach.

I nuż tedy cisnąć i ciągnąć jeden drugiego. Lis szarpie szczupaka, szczupak z całej siły lisa, ten chce na brzeg, tamten do wody. Lis mocna bestja, ale i szczupak nie słaby. Więc też rwie i szarpie jeden drugiego, a żaden żadnemu nie może dać rady.

Co lis o kilka kroków wydrapie się tyłem wzwyż brzegu, to szczupak nagle plusnie ogonem i szarpnie z całej siły, a biedny lis po kolana skąpie się w wodzie, i znowu z wielką biedą rwie i pnie się do brzegu.

I tak kilka minut ciągną i szarpia się wzajem, lis chętnieby już puścił na cztery wiatry swoją zdobycz, ale szczupak trzyma go jak w kleszczach, a niecnota uparta nie ustępuje ani na włosek.

Walek patrzy na to wszystko i za boki się trzyma od śmiechu, a nareszcie nie wiele myśląc, skacze z brzegu. Lis ostatnich wydobywa sił i rwie się jak wściekły, ale szczupak trzyma i ani rusz popuścić.

Walek miał na plecach obok cepa i grabi także spory wór, więc cożywo chwyta lisa za ogon i pakuje go do wora, a potem jak szarpnie z całej siły, to i szczupaka wyciągnął na brzeg i zapakował do kompanii.

Zawzięty szczupaczysko i w worku nie popuścił przeciwnikowi, ba nawet jeszcze silniej zacisnął szczekę.

Walek zarzucił swój ciężar na plecy, i dźwiga obudwóch, a w duchu cieszy się i raduje, bo wie, że za taki figiel wielka nagroda czeka go od pana.

Trzeba bowiem wiedzieć, że dziedzic, jaśnie wielmożny kasztelan, wielce się kochał w wszelkiego rodzaju figlach, a jak wpadł w dobry humor, to był hojny i łaskawy, prawdziwie po pańsku.

Walek już sobie naprzód układa i oblicza, jaki to podarunek weźmie od pana i jak to wszyscy we dworze będą podziwiać to niesłychane cudowisko, ale tymczasem ciężko mu strasznie było na plecach, jakoś czczo w żołądku, a tu właśnie karczma o kilka kroków.

Myśli sobie: ot wstąpię na kieliszek wódki do zezowatego Moszka i wypocznę na chwilę; i w samej rzeczy też skręcił do karczmy.

Zezowaty Mosiek w patynkach, w lisiej czapce na głowie chodził po karczmie, i trzęsąc się na wszystkie strony, pokiwując głową i rozmachując rękami, odmawiał głośno pacierze.

Z początku ani spojrzał na Walka, ale jak zobaczył tak ciężki worek na jego plecach, więc coprędzej skończył modlitwę, i ciekawie zaczął oglądać naszego Kuternogę od stóp do głowy.

— Nu, jak się macie Walku, a co tam niszecie w worku, a zkądiści to wzięli, a do kogo z tem idziecie? — zapytywał prędko i obchodził Walka na około.

A jak Walek w milczeniu spuścił worek na ziemię, a wewnątrz zaczął się i szczupak trzepać i lis szamotać, to żydzisko mało ze skóry nie wyskoczył z ciekawości.

— Ajwaj! co tam takiego?

Walek nadął się i napuszył, i z powagą pokiwał głową.

— Ho, ho — rzekł — żebyśto ty wiedział żydzie, co tam jest!

— Ny! może ja bym to kupił! czemu ni?

Walek zamiast odpowiedzi zaświstał sobie pod nosem.

Żyd nuż pokłapywać patynkami i biegać i tańczyć koło worka.

— Ny, bez żartu Walku, co tam takiego jest? może to ten mały wół, co się narodził od waszej boczastej?

Walek tylko machnął ręką.

— At, co tam będziesz zgadywał na durno, ozwie się po chwili, daj mi lepiej kieliszeczek mały i kwita.

Mosiek chciał naprzód choć pomacać worek, ale jak na nowo strzepnął się szczupak a szarpnął lis, to aż pod ścianę odskoczył z przestrachu.

A Walek zaśmiał się i pokiwał mu palcem.

— Nie tykaj żydzie, bo to trefne — zawołał.

— Ajwaj! może to wieprzowego żona z prosiętami — krzyknął żyd i strzepnął palcami.

A twardy Walek długo się jeszcze dał prosić, nim roztworzył worek i pokazał żydowi co się w nim znajdowało.

Mosiek oboma rękami chwycił się za głowę, i jak warjat zaczął cmokać językiem.

— Ajwaj! a grojse, grojse dziwo!

A jak się opamiętał z pierwszego podziwu, nuż zapytywać Walka, gdzie znalazł takie cudo, i co chce z nim zrobić?

— Ny wiecie co, ja wam za to co dam, rzekł i zezem łypnął na Walka.

— A figa — odpowiedział Walek i nazad zakrył worek. — To dla jaśnie pana, nie dla ciebie żydzie.

— Ny, niech i tak będzie! Przezemnie, będziemy pójść do jaśnie wielmożnego pana kasztelana — zawołał żyd i w jednej chwili gotów był do drogi.

A po co ciebie! — zawołał Walek — alboż to ja sam nie trafię do dworu?

Żyd niechętnie pokiwał głową:

— Aj Walku, Walku — zawołał — wy co macie taki glimboki rozum a takiście głupi jak cielę. Cóżby wy zrobili bezemnie, bez arendarza!

— A cóż to wy takiego? — zapytał Walek.

— Ny! nie bądźcie no takim Walku! Ja będę chodzić z wami do jaśnie wielmożnego pana, ja będę mu gadać, że to my obydwa we spółce nałapiwali tej chudoby, ja będę jemu tak rozumiecie podkadziować do humoru, a jak nam co potem da, ny, to uchowaj Boże, ja nie chcę wszystkiego, ja się z wami będę podzielić.

Walek patrzy na niego, i śmieje mu się w oczy.

— Czyś ty zwarjował żydzie — zawołał nareszcie — tfy! Ja miałbym się z tobą dzielić Bóg wie za co? Albożto ja chcę naszego pana oszukać czy zedrzeć? Ot kontent będę jak mu sprawię przyjemność, a da mi jaki podarunek, to jego łaska pańska.

Ale Mosiek nie dał mu skończyć.

— Co wy gadacie, jakbyście spali! ajwaj! jaki to z was twardy człowiek, ja wam radzę jak rodzonemu wojcu, a wy jeszcze sobie krzywdujecie. Jak wy nie zrobicie ze mną spółki, to wy ani zlamany szelung nie dostaniecie! Hihihi! wam się zdaje że to tak łatwo można bezemnie przichodziować do jaśnie wielmożnego kasztelana. Ojwaj! a tu ekonom, a tu pisarz, a tu lokaj, a tu furman, a tu kucharz, a tu kuchta, a każdy przybiegnie, i każdy szarpie i powie pokaż! i powie daj, i każdemu trzeba zapchać coś do ręki, bo ten będzie wypichać za drzwi, tamten poszturkować za plecy, jeden klapnie po zębach, drugi potarguje za włosy. Achwaj! uchowaj Boże od takiej publiki!

Walek na to wszystko zaśmiał się tylko wesoło i zarzucając napowrót wór na plecy, rzekł bez obawy:

— Niech cię tam o to głowa nie boli, już ja sobie jakoś dam radę, obejdę się bez spólnika.

Żyd zaperzył i zabuńczuczył się jak jendor.

— Co ty głupi, durny goj nie chcesz ze mną spółki! — zawołał z gniewem — to ja ciebię nauczę, ja tobie pokazę, ja pójdę do jaśnie wielmożnego pana, ja powiem jaśnie wielmożnemu panu, że ty chodził kraść jego rybów, ja powiem, że ty sam wpakował tego mordę lisa w tego paszczekę szczupaka, ja powiem, że to lis nie prawdziwy, ja powiem że ty chcesz tylko oszachrować jaśnie wielmożnego pana! a jaśnie wielmożny pan mnie uwierzy, bo ja znaczę wszystko u jaśnie wielmożnego pana, a ty chamr jeszcze będziesz brał kilka pięć kijów i musisz zapłacić akcyzów od tego bydlętów.

Walek wysłuchał do końca, a potem przygryzł wargi i zachmurzył czoło, a oczy mu się zaświeciły jak zawsze, kiedy miał spłatać jaką psotę.

— Ha, bierz cię licho! niech i tak będzie — ozwie się nareszcie. — Przystaję na spółkę.

Żyd aż mało nie poskoczył do powały, tak się ucieszył setnie. I nuż Walka traktować wódką i kuglami, i głaskać go po brodzie i przymilać mu się wszystkiemi sposobami.

Nareszcie wybrali się obadwaj do dworu.

O dobrą staję, na małym pagórku stał dwór okazały, a na ganku o ośmiu kręconych słupach przechadzał się tam i nazad przed śniadaniem sam jaśnie wielmożny kasztelan, pan już w podeszłych latach, dobrej tuszy, wspaniałej postawy a twarzy łagodnej, wesołej i dobrodusznej.

Palił fajkę na długim cybuchu i snać myślał nad czemś wesołem, bo uśmiechnął się sam do siebie, i ani spostrzegł, kiedy żyd i Walek zbliżyli się do ganku.

Mosiek lisią czapkę wsadził pod pachę a berłydkiem od samej bramy wymachiwał na wszystkie strony. Walek kapelusz z uszanowaniem zdjął z głowy, i w milczeniu postępował z swym ciężarem.

Aż też spostrzegł ich pan kasztelan:

— A co mi to powiecie tak rano? — zapytał uśmiechając się do Walka łaskawie.

A żyd na palcach wysunął się naprzód, i kłaniając się berłydkiem do nóg kasztelana, zaczął cmokać językiem i potrząsać pejsami.

— A grojse, grojse dziwo przynieśliśmy jaśnie wielmożnemu panu — prawił zwinnym językiem — niesłychanego rarytnych bydlętów nałapiwaliśmy dla jaśnie wielmożnego pana, ajwaj! takiego cud jeszcze nigdy nie buwało!

— A cóż to takiego? — zapytał kasztelan ciekawie.

— Ny, ja nic nie będzie powiedzieć jaśnie wielmożnemu panu, ale jaśnie wielmożny pan będzie sam oglądować, i jaśnie wielmożny pan powie sam: Moszku! ty wart czegoś!

— Ny, Walku, wysypujcie z worka tego chudoby.

Walek otworzył worek, i wytrząsł na ziemię szczupaka i lisa przed nogi kasztelana.

Dziedzic wypatrzył się ciekawie na tę dziwną parę zwierząt, a Mosiek wyciągnął się na palce, i cały wygiął się naprzód, a ciągle cmoka językiem, potrząsa pejsami i wymachuje rękoma.

— Ajwaj! jasnie wielmożny panie a grojse grojse cudo! Takiego nie biwalo jeszcze nigdy na świecie, a my tego umyślnie nałapiwali dla jaśnie wielmożnego pana. Ajwaj gdyby my tego bydlętów powieźli na targ do miasta! aches mir jak na licytacjów zbiegiwaliby się ludzie, a cobyśmy utargowali bim bim bim! Ale my wolimy to przynieść jaśnie wielmożnemu panu, jaśnie wielmożny pan nie zechce naszej krzywdy, a takiego rarytnego chudoby to nie ma i nie będzie u nikogo tylko u jasnie wielmożnego pana!

I ciągle podryguje i kłapie patynkami i chlipnie ślinę a cmoka językiem.

Walek nic nie mówi tylko się uśmiecha po swojemu, a to coś niedobrze znaczy dla żyda.

Nareszcie kasztelan nasyciwszy się dziwnym widokiem zwierząt, kazał je lokajowi zanieść na pokaz pani kasztelanowej a obracając się do Mośka i Walka, rzekł:

— Dziękuję wam moi dobrzy, żeście się udali wprost do dworu a nie gdzieindziej. Ale powiedźcie mi, któż to złapał właściwie?

A Mosiek nie dając przyjść do słowa Walkowi, znowu wysuwa się naprzód, i kłaniając się do stóp jaśnie pana, zawoła prędko:

— Niby ja niby won, ot tak umyślnie dla jaśnie wielmożnego pana!

— A to niby w spółce obydwaj? — zapytał kasztelan.

— A tak w spółce — potwierdza Walek.

— Hihihi, jasnie wielmożny pan zgadł od razów — potakuje żyd.

— No a cóż chcecie za to? — pyta dalej kasztelan.

Żyd śmieje się i łypnie oczym i cmoka językiem.

— Hihihi już tam jasnie wielmożny pan za takie rarytne bydlęta nam krzywdy nie zrobi.

Ale teraz Walek wysunął się naprzód, i ściskając dziedzica za kolana, ozwał się pokornie.

— Tać ja bym tam miał o co prosić jaśnie wielmożnego pana, tylko bym chciał, aby jaśnie wielmożny pan przyrzekł mi naprzód na słowo swoje, że wypełni moja prośbę.

Kasztelan zaśmiał się łaskawie.

— Ho ho! może zechcesz z jedną wieś całą?

— O nie — powiada Walek — ja będę coś takiego prosił co jaśnie wielmożnego pana nie będzie nic a nic kosztowało.

Mosiek niekontent pociągnął go za połę, ale Walek na to nie zważał wcale.

Tymczasem rzecze kasztelan:

— Mniejsza o to, masz moje słowo, proś czego chcesz.

A Walek skłonił się do kolan jaśnie wielmożnego pana i rzekł pokornie:

— Suplikuję o pięćdziesiąt kijów, jaśnie panie.

— Co? — zawołał kasztelan zdziwiony.

A żyd przestał podrygiwać i udając że się śmieje, zawołał prędko:

— Ny, to on taki figlarz, on sobie tak żartuje.

Ale Walek na prawdę obstawał przy swojem.

Nadaremnie upominał i przedstawiał kasztelan, który nie lubił bić nikogo i z swymi poddanymi obchodził się jak z dziećmi rodzonemi. Walek uparł się przy swojej prośbie, a kasztelan związany swojem słowem szlacheckiem musiał chcąc nie chcąc zgodzić się na kije.

Przywołał też dwóch kozaków i kazał wynieść ławkę.

Mosiek przestał już podrygiwać i cmokać językiem i okrutnie klął w duchu na głupiego Walka, co zamiast nagrody domagał się kijów.

— No kiedy chcesz, to kładź się — rzekł nareszcie kasztelan, kiedy stanęła ławka.

A Walek ukłonił się do nóg kasztelanowi i wskazując na Moszka rzekł:

— Ja bo mam wspólnika, jaśnie wielmożny panie.

Mosiek pobladł jak ściana i zaczął krzyczeć w niebogłosy.

— Co hersty jak? jakiego spólnik, co za spólnik! bodajeś tak zdrów buł!

A kusa rada! Walek obstawał przy swojem, a kasztelan nie mógł złamać swego słowa.

Kozacy porwali zawodzącego w niebogłosy Moszka, a nim byś zliczył jedno Zdrowaś Marja, wlepili mu dwadzieścia pięć

odlewanych kijów, że za każdym razem mało wraz z ławką na sążeń nie zapadł się w ziemię.

— A teraz na ciebie kolej! — zawołał kasztelan kiedy miały się zaczynać drugie dwadzieścia pięć.

Walek znowu się ukłonił do kolan kasztelana i rzekł pokornie:

— At ja tam nie taki chciwy, jaśnie wielmożny panie! ja jemu i moją połowę odstępuję.

Kasztelan zanosił się od śmiechu, a chciwy Mosiek otrzymał i drugą odlewaną połowę.

Dopiero potem wyjaśniło się wszystko kasztelanowi i aż zapłakał się ze śmiechu.

— Dobrze ci tak łotrze — rzekł do żyda, na pół zemdlałego z bolu i przestrachu. Masz za twoją chciwość! Chciałbyś się niesłusznie wszystkiem dobrem dzielić z biednym chłopkiem, bierzże i wszystko złe za karę.

Walek dostał parę wołów za swój figiel, a zezowaty Mosiek cały tydzień lizał się w betach i smarował wódką, a do samej śmierci nie zapomniał nigdy, jak wyszedł na spółce z Walkiem Kuternogą.

RÓŻNOŚCI.

Niezaradni ludzie. Jak u nas między Galicją a Węgrami stoją **Karpaty** na granicy, tak samo pomiędzy Francją a Hiszpanią ciągną się granicą wysokie góry **Pireney.** W naszych Karpatach mieszkają Bojki, Hucuły, Górale tatrzańscy lub też po prostu zwani Górale; — Górale zaś pirenejscy w Hiszpanii nazywają się **Baskami.** Owóż między tymi Baskami mają być ludzie strasznie niezaradni, których tam **Olojderos** zowią. Kiedy się któremu z nich wóz wywróci, będzie go obchodził, biadał i wyrzekał, wołając: Oloja! Oloja! a nie dołoży rąk ani starania, by wóz nazad postawił. Takich **Olojaderów** co wyrzekają w przygodzie i myślą, że im się samo co zrobi, znalazłoby się pono i między nami nie skąpo, gdyby ich tylko poszukać...

— **Trzech wędrowców** odbywało społem daleką podróż. Pewnego wieczora idąc wedle wielkiego lasu przydybali spory worek pieniędzy. — Podzielimy się z sobą — rzekli, i coprędzej skryli się w las, aby ich kto nie podejrzał z nienacka. Nim jednak zaczęli się dzielić, wyprawili jednego z pośrod siebie po wódkę i przekąskę do pobliskiej karczmy. A kiedy ten odszedł, ci dwaj co zostali sami, rzekli sobie: Hej, hej, gdybyto te pie-

niądze przypadły tylko na nas dwóch, tożto opływalibyśmy w bogactwo i dostatki. I zaślepieni chciwością, dalej się uwodzić pokusie złego ducha.—Zabijmy tamtego jak wróci, a cały skarb dostanie się nam samym — rzekł jeden, a drugi bez sumienia przystał na ten zamiar okrutny. Aliści tymczasem tamten, co poszedł po wódkę i przekąskę, myśli sobie w drodze: coby tu zrobić, żeby cały skarb należał do mnie? A że także nie miał Boga w sercu, więc i on wpada na grzeszną chęć i nuż przemyśliwać jakby tamtych chyłkiem zgładzić z tego świata i cały skarb zagarnąć do własnej kieszeni. I przypomniał sobie, że od swojej starej babki nauczył się poznawać jedno ziele, w którem tak okrutna znajduje się trucizna, że byle człek liznął tylko jego soku, zaraz słabnie i umiera jak mucha. Dalejże szukać tego ziela, i napuszczać jego soku do flaszy z wódką. Dokonawszy tego, cieszył się już w duchu, że posiędzie cały skarb znaleziony; aliści zaledwie zbliżył się do swoich towarzyszy w lesie, aż też oni z pałkami rzucili się na niego, i zabili go w mgnieniu oka. A potem obadwaj zabrali się do wódki, i ochoczo jeden i drugi kilka łyków pociągnał z flaszy. I tuż zaraz spadła kara na nich! Pokurczyli się, posinieli w okropnych bolach i za kilka minut obadwaj oddali ducha. Zbyteczna chciwość popchnęła ich do grzechu, tażsama chciwość ściągnęła im karę zasłużoną. Dobrze to mówili nasi ojcowie: *Kto łaknie wołu naraz, udławi się makowem ziarnkiem.*

— *Żyje Maćku ciele? żyje, ale się nie rusza.* Znane to nam z dawności przysłowie, taki miało początek. Wychowałci sobie chłop jeden syna drągala, ale strasznego *niezdarę*. Z nim jechał on razu jednego na jarmark do miasta, wioząc ze sobą na pół żywe ciele rzeźnikom na sprzedaż. Troskliwy o nie gospodarz, raz po raz obraca się poza siebie, pytając synala: „Maćku, żyje ciele?“ syn odpowiadał: „żyje“ Aż nareszcie już prawie przed rogatką ciele zdycha. „Maćku, żyje ciele?“ pyta znów ojciec. Na to chłopiec on, niezdara: „żyje tatulu, żyje, ale się nie rusza.“ I od tego to czasu weszło w używanie, że jeśli komu chcemy powiedzieć: iż jest do niczego, ot takie sobie chłopczysko niezdarne, wtedy powiadamy: *Żyje Maćku ciete? żyje, ale się nie rusza.*

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Biednemu zawsze wiatr w oczy.
2. Żeby kto był wieszczy, toby był bogaty.
3. Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą.
4. Kto pacierz mówi leżący, tego pan Bóg słucha śpiący.
5. Krowa co wiele ryczy, mało mleka daje.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**